

tygodnik katolicko-narodowy dla stanu sredniego.

W Poznaniu, dnia 19 Września 1886.

Wychodzi co Niedziela.

Wydawca
Wojciech Simon
w Poznaniu.

Przedpłata ćwierćroczna 3 złp. — 150 fen.
pod opaską 3½ złp — 175 fen.,
ogłoszenia po 15 fen. od wiersza drobnego.

Redaktor:
Stefan Szyperski.
w Poznaniu.

Jakób i Klimek.

(Ciąg dalszy.)

Johan i Petryna.

Na końcu wioski, niedaleko rozstajnej drogi, stoi stare karczmiszko; dobrze, że stare, bo się może i zwa i niedługo; a tych karczmisz takich, co to nie ku wygodzie ludzkiej, na przykład ze stajnią zajezdną, ale tak jeno stoją na obrazę Bożką, i aby wódczysko w nich było, to czegoś nie żał; bo uczciwego człowieka, jak przejedzie koło takiej karczmy, to aż coś przenika.

W téj tu porządnej gromadzie, ta jedna tylko karczma była, i to już za wsią, oczywiście jako wyrzutek, jako rzecz szkodliwa ludzkości; bardzo dobrze, że sobie za wsią siedziała. Bo tu z wiejskich mało kto do niej zaglądał, i gdy na to mówiąc, jakie wesele, albo inna uczta była we wsi, to ludkowie tamtejsi woleli we własnej chałupie, albo gdy na to przyszło i ksiądz proboszcz pozwolił, w szkolnej izbie potańcować, i z miasta sobie sprowadzić wina, kawy, miodu, aniżeli w karczmie dać sposobność szatanowi do zaczepki.

Tak więc ze wsi mało kto zajrzał do karczmy; ale za to złodzieje, urwisze i różne przybłędy lubili w niej przebywać. Osobliwie stara Petryna z drugiej osady, co niby wróżyła ludziom z kart, i chwaliła się, że umie złe zażegnawać, przesadywała w niej dnie i noce. Do wsi bowiem tutejszej nie miała ona po co chodzić; ludzie poznali się byli na jej szachrajstwie, a potem ksiądz proboszcz raz na zawsze zakazał, aby w żadne gusia się nie wdawać, a gromada słuchała swego dobrodzieja we wszelakiej rzeczy.

Ale tam w karczmie, gdy się dało kogo obcego, lub nieświadomego złapać, to go w pole wywiodła i ocyganiła, ot, jak wszystkie takie szachrajki.

Wiedziała potem wszystko, co się gdzie w jakiej chałupie dzieje; mogła więc łatwo kogo podejść, i często gęsto, choć z daleka, powasniła niejedną rodzinę.

Drugi człowiek, który także prawie nie wychodził nigdy z karczmiszka, był to Johan, jak go nazywali,

jakiś przybłęda, co niedawno przywlokł się był w te okolice. Zatrącał niby z węgierską, niby z niemiecką, któż tam wie, co on był; dosyć, że nie tutejszy, tylko jakiś włóczęga, jak się rzekło.

Miał wielką harmoniją do grania, na której sztajery wygrywał, i ludzi tém do siebie nęcił, i grosz wydrwiwał. Dla tego też w opuszczonej karczmie przesiadywał, i przygrywał często, aby było ochotniej, z czego karczmarz był rad, i nie żałował mu gorzałczyska.

Drugie jego rzemiosło było pisanie. Chwalił się przynajmniej, że po niemiecku i po polsku jak co napisze, to i w samym becyrku*) tak nie potrafią. Ztąd narzucał się każdemu tém pisanem; wypytywał, czy nie ma jakiej sprawy; zaglądał do papierów familijnych, wyszukiwał z nich różnych zadawanych pretensyj, namawiał do procesów, i oczywiście rzucał ziarno niezgody między spokojne i uczciwe gromady. A ludęk nasz wiejski, polski, pocztowy, ale jeszcze mało oświecony, aby się poznał na oszustwie; i dla tego pierwszy lepszy frant, oszust wyprowadzi go w pole, — zaczął z początku słuchać jego gry na harmoniji, a potem jego niby to pismiennej nauki. I tak ten urwiesz obchodził całą tę okolicę, szukając zarobku próżniactwem i okłamywaniem ludu.

Ludzie kochani, strzeżcie się takich przybłędów, bo to są jakoby owe parszywe owce, o których w świętej ewangeliji napisano, że i najzurowsze zarazą owczarnie. To są fałszywi prorocy, a po owocach poznacie ich. Otoż, jeżeli taki człowiek, co cię drugi raz w życiu widzi, już się mieni być twoim przyjacielem, a na twego brata źle ci gada. O! to go omni i przeżegnaj się, a nie wchodź z nim w żadną przyjaźń. Dalej, jeżeli taki człowiek nie ma pięknych, czystych obyczajów, i takakie życie prowadzi, i rzadko go ujrzysz trzeźwym, od takiego unikajcie już, pocztwi ludkowie, bo taki nigdy wam nic dobrego nie zrobi; bo skoro on nie jest przyjacielem Boga, i nie słucha Go, jakżeby mógł być waszym przyjacielem?

A potem, jeżeli taki człowiek będzie wam złote góry obiecywał, abyście mu waszą sprawę oddali, ale nic darmo, nic dla miłości bliźniego nie zrobi, tylko

(*) Urząd powiatowy.

za każdą radę, za najmniejsze słówko napisane, każe sobie dubelt zapłacić, oto i takiemu nie wiercie; bo on was nie dla waszego dobra do procesu namawia, i waszą sprawę bierze, tylko dla własnego dobrego zysku; jemu tam nie chodzi o to, czy wygrasz, czy przegrasz, tylko, żeby on z ciebie ostatni grosz wyciągnął, i z bratem cię powaśnił, i żebyś poszedł w dziady i na pośmiewisko ludzi. A cóż to takiemu przybłędzie szkodzi? On sobie pójdzie dalej i kwita.

Oj, ludzie drodzy, kochani, gdybyście wy serca tych pokątnych pisarzy, tych fałszywych proroków znali, tobyście ich się przelekli, i więcej byście o żadnym prawowaniu wiedzieć nie chcieli, i wolelibyście już i krzywdę mało wiele darować.

Boć już ci nie ma co mówić, trzeba się cza sem o swoje i upomnieć; ludzie są różni, i różnie się między ludźmi przydarzy; ale wy, ludkowie, jakżeście to powinni w takim razie robić? Oto najpierw poradzić się swego dobrodzieja, przed nim wynurzyć swoją żalobę; bo ksiądz każdy zna mało wiele prawo, a szczególnie to najgłówniejsze Bożkie prawo: „Miłuj Boga i bliźniego;“ on wam doradzi, bo pozna, przy kim jest po słuszości. Potem powinniście sobie u wójta zwołać sąd polubowny i zgodzić się jak można; a gdyby strony były uparte, to dopiero udać się do takiego, co na to jest ustanowiony, i co się zna na tej rzeczy, a ten od razu powie jednemu i drugiemu, czyli jego interes jest prosty, i wart prawowania, czy nie. Ale tych pokątnych pisarzy, tych przybłędów, pijaków strzeżcie się ludzie drodzy, tak jak morowego powietrza. Bo to są pijawki, które ssą krew waszą i wasz krwawo zapracowany majątek, i zabijają i ciała wasze i dusze wasze.

Otóż wejdźmy do tego karczmiska, a popatrzmy kto tam jest, i o czém mowa?

Za stołem, niedaleko okna, siedzi dopiero wspomniany Johan; oparł jedną rękę na harmoniji, leżącą przed nim na stole, drugą trzyma kwaterkę gorzałki, pije do Petryny, która już dobrze podchmielona, rozprawia rękami, i klnie się na duszę i ciało, dowodząc, że będzie tak z pewnością, jak ona mówi.

Widać, że oboje znają się ze sobą dobrze, i ufają sobie w swoich szachrajstwach, bo Johan uradowany widzieć z jej obietnicy i rady. A co oni radzą? Posłuchajmy ich.

Oto Petryna tak prawi:

— Wiercie mi, Johanie, nie byłabym Petryną, gdyby Zośka od Klimka nie miała być waszą; ale trzeba się ku temu wzięść mądrze, i tak jak wam mówiłam. Nie popuście go, niech rozpocznie proces, a potem mu będziecie obiecywali złote góry, ale z warunkiem, aby wam dał Zośkę za żonę. Zośka, choć na was krzywem okiem patrzy, ale jak ją Klimek zniewoli, to przystanie; a jak też raz się dostaniecie w rodzinę, ho, ho! to sobie już dacie radę, i waszym rozumem wykurzycie obu z chałupy; bo jużcić, jak się poczną prawować, to przeprowadzą wszystko, a wtedy Johan będzie sobie panem całej pół roli, i Petrynie będzie lepij. Ha, ha, ha!

— Ja już zacząłem dobrze tę sprawę, rzekł na to Johan, — i Klimek już się z bratem waśni; ale

basaramtetem! to nie idzie tak łatwo, jak w tamtęj osadzie za górą, bo i tam istgut,¹⁾ wszystko jak my chcieli, moja Petrysiu. Tam sobie człowiek trochę kieszeń podreperował, bo głupie chamy becal (placą) jak się patrzy; ale basaramtetem! tam mi nie szło tyle o doby koniec, ile tu, żeby mi się Zośka dostała, to fajna dziewczka. Petrysiu, jak ją dostanę, to ci całą gospodę wybuduję, i kart ci ze samego Wiédnia całą furę przywiozę. Ale pamiętaj, jak Klimek przyjdzie do mnie na poradę, wykląć mu karty, i prawić, że mu wielkie szczęście w nich stoi, że wygra proces, że będzie pierwszym we wsi. Potrzeba mu także prawić o mnie, że Johan jest człek mądry, że go znasz dawno, że nie takie prawo, a wygrał niejedno; że ma dużo geld,²⁾ i że szczęśliwa będzie ta dziewczyna, do którejby on się zalecał, ale to zapewne nie do wiochny.

— Tak mu gadaj, Petrysiu! — mówił dalej Johan, i zawołał na karczmarcę, starą żydówkę, aby podała po drugiej kwaterce.

— Mnie nie potrzeba uczyć rozumu, odpowie Petryna, — bo na tém zjadłam zęby; znam ja ludzi. A potem, jakby takim sposobem nie pomogło, to Johanie, dam wam takiego ziela, że Zośka sama do was przyleci. O, ho, ho! ilu ja już ludziom dogodziłam! I szarfarka we dworze udawała się do mnie kiedyś o jakie ziele, aby pan pisarz, któremu ona rada niezmiernie, nie zachodził do leśniczanki, tylko do niej. O! i dam jej ziółko, ale mi się musi opłacić nielada. I pan Johan, jeżeli mu Zośkę sprowadzę, to musi coś więcej dać, jak tę śmierdzącą oparę; bo za taki interes to trza dobrze zapłacić. Nie prawda her³⁾ Johan? przyjaźń z Petryną, to warta więcej, niż kwaterkę śmierdziuchy! I nie pożaluje tego, kto ze mną się wdą; ale kto ze mną zadął, ten pożalował ciężko i pożaluje! Jak naprzykład ten wójt tutejszy, co mnie kazał psami wyszczuć, kiedym z kartkami przez wies szła. Poczekaj ty stary psie! — dodała Petryna, zacisnąwszy chude, stare, kościste pięści, i wykrzywiwszy gębę, z której sterczał ostatni ząb, niby kieł kobyli; — nie byłabym Petryną z Lisięj Góry, żeby ci to płazem poszło! Zobaczmy, czy i sam dobrozież poradzi ci na to, co ja ci uczynię? Będziesz mi ty tańcował, będziesz Petryny wzywał, będziesz się mordował, a Petryna będzie się cieszyć i śmiać, ha, ha, ha! Wielmożny panie wójcie, nie długo już twojego panowania; o nie byłabym Petryną! Ale Johanie, na tę uciechę zagrajcie mi sztajera; czegoś dziś u starej Szmulki, jakby wymiółł. No, geszwind!⁴⁾ Petryna umie i po niemiecku, ha, ha, ha!

Johan wziął harmoniję do ręki, coś w niej zakręcił, przycisnął jedną ręką mieszek, a drugą przesunął po białych szczebelkach, i sztajer skoczny dał się słyszeć. Stara pijaczka, już dobrze podchmielona, wysunęła się z za stołu, i poczęła, taczając się, podrygać, wywijając pięściami po nad głową; ale nie długo trwał jej sztajer, bo za trzecim skokiem nogi się jej splątały, i padła jak długa na ziemię.

Chciała się zebrać, ale głowa pijana, a nożys-

¹⁾ Dobrze. ²⁾ Pieniądzy. ³⁾ Panie. ⁴⁾ Prędko.

ska opuchłe, nie dozwoliły jęj tego; poczęła coś mruzczyć pod nosem, potem chrapać, i usnęła snem głębokim na środku izby.

Towarzysz jęj, Johan, choć sam już dobrze podпиты, ruszył się z miejsca, i zawlokł ją w kąć karczany, a sam podłożywszy sobie pod głowę swoją harmoniję, począł niezadługo także chrapać okrutnie. Był to zwykły koniec narad tej szatańskiej pary!

Więc niechże sobie tam śpią; a my tymczasem zauważmy, do czego ta ich rozmowa zmierzała. Oto, jakżeście to z ich słów pomiarkować mogli, oni to oboje stali się przyczyną, i swoją namową do tego doprowadzili, że Klimek, co mu się w życiu o procesach nie śniło, począł do Jakóba jakoweś pretensyje wywodzić, i prawowaniem go straszyć. Johan miał do tego dwa powody: pierwszy, aby za pisanie skarg i pozwów od pocziwych ludzi ostatni grosz wyciągnąć, a drugi, że się mu była Klimka siostra, Zośka, bardzo spodobała, więc myślał, że tym sposobem dostanie Zośkę, a potem i cały dobytek obudwu braci; boć to tak już najczęściej bywa, że na procesie tylko pisarz i sędzia wygrywa; strony zaś obie wszystko tracą.

A znowu Petryna, którą djabeł posłał wszędzie, gdzie sam nie mógł wskórać, podjęła się chętnie swoich szachrajskich sztuk z kartami za wódkę, której Johan, jak widzimy, nie żałował jęj. Nadto wielce ją korciło, że w tej tu gromadzie nie bywało nigdy ani swarów, ani procesów; przedewszystkiem zaś do wójta, który jęj szachrajstwom nie pobłażał, miała wielką zawziętkę. Dla tego też odgrzała mu zemstą i czarami, a Johanowi znowu kartami i ziołami obiecywała zrobić wszystko, czego sobie życzył.

I dokazali już dosyć złego, kiedy potrafili dwóch braci uczciwych ze sobą powasnić; ale to zrobili jęno złą radą i słowami przewrotnemi, zwodniczemi, a nie żadnemi czarami, ani ziołami; bo ktoby tam na świecie trudnił się czarami, albo zamówieniami! Kto czarów się boji, musi być jeszcze bardzo ciemnym i głupim, i taki widać nie słucha przykazań Bożkich i kościelnych, czém bardzo grzeszy. Bo widzicie, tylko szachraje i oszusty korzystają z łatwowierności i zabobonności ludzi dobrych a ciemnych, i takimi strachami w pole ich wywodzą. I jeszcze możemy tu zauważyć, co to się w karczmach dzieje, i czy się kiedy z karczmy co dobrego wyniesie? O! jako żywo, nie! Bo oto mieliśmy tu obraz karczmy, i widzieliśmy, co to z niej wychodzi: opilstwo, próżniactwo, i wszelakie szachrajstwa, obraza Bozka, i wszystko złe! Oto gdyby był Klimek nie był poznać się w karczmie z Johanem, nie byłby miał pokusy do procesu, nie byłby kazał Petrynie kart kłaść, i nie byłby sprawił szatanowi uciechy!

O! ile jęno w mocy waszej, uciekajcie od gorszących karczem i szynków, o bo oprócz obrazy Boga, a zniszczenia majątku i zdrowia, nic więcej z tamąd nie wyniesiecie!

Ciąg dalszy nastąpi.

PULKOWNIK.

Scena z wojny francuskiej.

(Dokończenie.)

Podczas gdy dwa granatniki ustawione przy wąwozie trzymały na wodzy, resztę szturmowej kolumny wroga, sześć pozostałych armat francuskich zwrócone ku nowemu napastnikowi, odpowiadały mu z matematyczną dokładnością. Na każdy wystrzał z baterji, płomień i dym otaczały paszcze francuskiej armaty i pocisk śledzony lunetą pułkownika, wpadając na baterję wroga, wywoływał radosny uśmiech na twarzy jego.

Prusacy tymczasem regulowali strzelnicę. Granaty ich z początku wpadając do blizkiej Loary, ryły teraz ziemię za redutą, ryły w niej olbrzymie jamy, o-sypując deszczem piasku półżywych już ze znużenia mobilów. Nagle wśród ponurego światła, z jakim pocisk przerzyna powietrze, ozwał się huk ogłuszający na reducie i środkowe działo wyrwane z lawety, runęło w wąwóz od razu. Niemcy znaleźli właściwą skałę podniesienia. Nie upłynęło odtąd i pół godziny, a już Francuzom dwie tylko pozostały armaty i zaledwie dziesięć nabojęw, bo furgony w gliniankach umieszczone, wysadził w powietrze pocisk najeźdników. Na skrzydle baterji nieprzyjacielskiej ukazali się kirasyerzy; cztery szwadrony gotowe do ataku. Wtedy pułkownik zawezwał mobilów, lecz pozostało ich sześćdziesięciu tylko i bez oficera. Spojrzał na swą baterję... i znalazł dziesięciu ludzi jeszcze. W chwili gdy ciężkie, zbroją okryte hufce niemieckie, poruszyły się na wzgórze, kierując się ku reducie, trzy pociski runęły na nie jeszcze, a w mig potem, oba te działa zdruzgotane zostały od kul niemieckich. Pułkownik, zapalając świeże cygaro, dobył szabli i skinął na resztki swego oddziału:

— Jeżeli nie chcecie ze mną dotrwać na stanowisku, rzekł spokojnie, to czas jeszcze!.. rozpróście się, nim nadlecą kirasyerzy, a będziecie ocaleni.

— A ty, pułkowniku? zawołał któryś z żołnierzy.

— Ja, odparł, poprawiając się w siodle, mnie bez rozkazu nie wolno opuszczać reduty, pozostanę tu aż do końca.

Słychać było tentent koni, zmarzła powierzchnia łąk przysyłała na redutę odgłos ich kopyt, jak szum zbliżającej się burzy. Pochylił w siodłach rycerze z nad Sprei, rozwinięci całym frontem na niezmierną równinę, wyglądali uroczu w promieniach południowego słońca, którego ukośne promienie, łamiąc się w olśniewająco białych pancerzach i takichże kaskach z czarnymi orłami, rzucały snopy iskier do koła. Pułkownik stojąc już po za uformowanymi w dwa szeregi mobilami, półgłosem robił uwagi biedakom zdecydowanym teraz na wszystko... Nagle zawołał: „feu... roulement!” i posypały się wystrzały mimo osmdziesięciu metrowej jeszcze odległości, trafiało o tyle, że linia kirasyerów została w środku przełamana. Ludzie i konie wywracali się jak kłosa. Podczas gdy pierwsi, spadając z siodła, opisywali ogromne łuki w powietrzu, aby upaść na szable następnych szeregów, drugie stawały dęba,

lub wywracały się w pędzie zagradzając drogę biegnącym z tyłu. Jeszcze jedna salwa karabinowa, nowa z tego zawała trupów z ludzi i koni. . garstka nowozaciężnych wraz z pułkownikiem, palącym jeszcze cygaro, zniknęła w tej masie błyszczących, do góry wzniesionych szabel i promiennych pancerzy.

Gdy ta żywa nawałnica przeleciawszy nad redutą, zatrzymała się o kilkadziesiąt kroków dalej, w miejscu gdzie przed chwilą strzelała garstka obrońców wąwozu, widać było bezkształtną masę rannych i zabitych, wśród których usiłował powstać siwy koń pułkownika, cały obryzany krwią, mając jeszcze w siodle swego pana bez życia, ze zdruzgotaną czaszką trzymającego oburącz zabitego pruskiego kirasyera.

Nazajutrz w raporcie głównie dowodzącego opis bitwy kończył się temi słowy: „Ostateczne zwycięstwo zawdzięczamy rzeczywiście heroicznej szarzy garstki kirasyerów 4-go pułku u najeżoną działami francuską redutę. Dzielni nasi żołnierze zdobyli ją od razu, pałaszując artylerzystów i zabierając działa, z których Francuzi panicznym strachem zdjęci, nawet się strzelać nie ośmielili.“

„Pułkownik dowodzący pod Ferrières, nazywał się Fabian Lasocki.“

BAJKI

J. U. Niemcewicza.

(Ciąg dalszy.)

Melon.

BAJKA XXIX ORYGINALNA

U szlachcica w dniu czwartkowym,
Na półmisku farfurowym,
Pokazał się przy obiedzie,
Przed jegomością na przedzie,
Melon dosyć okazały,
Piękny, dojrzały,
Jaki nie wszystkie zwykły miéwać domy:
Na ten widok tak łakomy,
Radość w twarzyczkach się świeci
U małych dzieci,
I dziewczynek i chłopczyka,
Każdy już słinkę połyka;
Gdy się do wetów zabrano
I melon krajać już miano,
Bzekła pani stolnikowa:
„Niechaj się ten melon schowa,
Jest on pierwszy w fruktów rządzie,
Może nam jutro kto z gości przybędzie,
Wszakże przed państwem popisać się godzi,
Nie prędko taki melon się urodzi.“
Na ten wyrok tak nie miły,
Wszystkie się dzieci skrzywiły.
Wielki się smutek w twarzyczkach maluje.
Nazajutrz melon znów się pokazuje;
Nikt nie przyjechał, i znów go sprzątnięto,
Toż samo we dni powszechne, i święto,
Nakoniec po dniach czterech, albo pięciu,
W środku, na końcu i w całym objęciu,
Czarne się plamy rzuciły.

Wtenczas niebacząc, czy jéjmość połaje,
Sam pan Stolnik melon kraje,
O Nieba! cały był zgniły!
Jeżli fortuna, znana swoją zmianą,
Rzecz ci nastroczy wielce pożądaną,
Téj nie odkładaj do jutra, nieboże;
Chwytaj ją prędko, nie bądź opieszaly,
Bo jak ten melon dojrzały,
I szczęście zepsuć się może.

1go Sierpnia 1813.

Dzwon i serce od niego.

BAJKA XXX.

Naśladowana z Francuzkiego.

Jakżeś okrutny, Ach! jaki morderca,
Mówił dzwon do swego serca;
Tak mnie uderzać ustawnie.
Rozumiész, że to zabawnie,
Szczękać tak nielitościwie.
Dla czegoż tyle hałasu,
Niepokoju i niewczasu?...
Dla czego? nie wiem prawdziwie;
Odpowie serce: możeć zawieszono.
Dla tego, żeby w ciebie tłuczono, dzwoniono
Chciej się raczej sznuru badać,
On mną nie przestaje władać,
Co on każe, to ja robię,
Więc jego pytaj się sobie.
Dzwon pyta sznura, czemu się tak rusza,
Że prawie wszystkich ogłusza?
Sznur się z swej strony tłumaczy,
Że choć się kiwa, nie wie, co to znaczy;
Zapytaj sobie dzwonnika.
Cały się sekret zamyka,
Dzwonnik odpowie,
W uczonej głowie,
Dzwonu i dzwonnicy pana,
Xiędza Plebana.
Lecz o nieszczęściu ustawicznym dźwiękiem,
Szczękiem i brzękiem,
Xiędz pleban ogłuchł, choć dzwon wiecznie badał,
On nic nie słysząc, nic nie odpowiadał.
Losem więc było dzwonu nieszczęsnego
Dzwonić, nie wiedząc dla czego,

1go Maja 1816.

Lis na śmiertelnej pościeli.

BAJKA XXXI

Naśladowana z Angielskiego.

Lis stary, bardzo na siłach stargany,
Gdy już najdroższych stracił przyjacieli
I na śmiertelnej ujrzał się pościeli,
Chcący pożegnać ród swój ukochany,
I dać mu jeszcze zbawienne przestrogi,
Zbiera liszek poczet srogi:
Piękne córeczki i synów,
I wnuczęta i kuzynów.
Zeszli się wszyscy, tuląc żal niezmierny.
A widząc, jak był stary jegomość mizerny,
I jak parki nieużyte,
Blizkim groziły mu zgonem,
Nie jedna liszka ogonem
Zakrywała łyzy obfite.
Była to żalność szczéra,
Bo gdy lis jaki umiera,
Ni zamków, włości ni chłopów,
Ani gumien pełnych snopów,

Ni klejnotów ku ozdobie,
Nie zostawuje dzieciom po sobie.
Lis, wzniośszy nieco ociężałęj głowy,
Temi do dzieci odzywa się słowy:
„Kochane dzieci, porzućcie niecnoty,
Nie wiecie, jakie sumnienia zgryzoty
Dreczę za każde zbrodnie popełnione,
Patrzcie ach! patrzcie, oto już skrwawione
Stoją przedemną gęsie i indyki!
Cóż jest ta kura zawzięta,
Co żalosnemi krzyki
Wyrzuca zadławione przezemnie kurczęta!“
Zgłodniałe lisy wytrwyszczyły oczy,
„Gdzież są te gęsie: gdzie ta kura kwoczy?“
Pytały: „patrzym, lecz nic nie znajdujem,
I napróżno się tylko oblizujem,
Żadna tu z gęsi nawet i nie mignie;
Prawdziwie, papa gada jak w malignie;
Ach! gdyby gęsie tu się pokazały,
Wraz byśmy wszystkie złapały.“
„Brzydkie żarłoki, zawołał lis stary,
Najsurowszej godne kary,
Nic nie myślicie, tylko żęby zjadać,
I po kurnikach i grzędkach się skradać;
Przez to łakomstwo, co was wiecznie łudzi,
Oburzyliście zwierzęta i ludzi.
Ustawnie jak na szkodliwego zwierza,
Tu człowiek strzelbę śmiertelną wymierza,
Tam w ciemnej knieji zakłada psy gończe,
Lub z lekkiej smyczy suszcza charty ręczne.
Raczej jak w wiecznej trwodze życie trawić,
Czemuż się lepić, czemu nie poprawić,
Porzucić rozbój, podstępny zdradliwie,
I żyć jak lisy pocziwe:
Gdy w oczach stanie śmierć z postacią groźną
Złodawać wtenczas już będzie zapóźno.“
„Wyborna rada, liszka mu odpowie:
Gęstym ogonem ozdobna;
Lecz z niej korzystać już nam nie podobna.
Wspomnij, czym nasi bywali przodkowie,
Co się dziś jeszcze między nami dzieje,
Z ojca do syna wszyscyśmy złodzienie;
Niegodziwości plama zbyt żelżywa
Ród nasz okrywa.
Choćbyśmy nawet dziś się poprawili,
I jak jagnięta w niewiuności żyli,
Nikt nie uwierzy: niech na jakiej grzędzie
Zaginie gąska, lub jaje ubędzie.
Choćby je nawet i szczury wypili,
Zaraz powiedzą, to lisy zrobiły.
Któż będzie naszą obroną,
Ciężko uzyskać sławę raz straconą.“
Lis przerwał: „takie mowy nic nie znaczą,
Lecz cóż ja słyszę, pono kury gdaczą,
Bieście, niech każdy ostrożnie zachodzi,
I mnie podobno kurczę nie zaszkodzi.

24go Lipca 1811 w Neplach.

Ryba.

BAJKA XXXII. ORYGINALNA.

Obok jasnego strumienia,
Człowiek w chwili zamyślenia,
Na zielonym brzegu siedział,
Dumał, a o czym? sam pono nie wiedział;
Widząc atoli przesłanną pogodę.
I mając wędkę, rzucił ją na wodę:
Patrzy na piórko, i czeka i czeka,
Nic nie przychodzi... już noc nie daleka,
Alic na koniec, coś haczyk trąciło,

Zadrżała linka, piórko się schyliło,
Człek niecierpliwy porywczó wyciąga,
Patrzy, aż złapał niewielkiego pstrąga.
Wziąwszy go, rzecze: o stworzenie biedne,
Jak się też możesz na robaczki brydne
Łakomić, chwytając hak, co zdradnie błysnie?
Dla tego, ryba odpowie,
Że mnie głód nieznośny ciśnie,
Że prawdziwie co się zowie,
Głód tylko jeden, nie chciwość.
Bo ci przysięgam na moję pocziwość,
Że przez dobę całą,
Zjadłam tylko muszkę małą.
Ale ty, człowieku dumny,
Tak przezorny i rozumny,
Co mi o łakomstwo pytasz;
I tę chciwość prędką
Czemuż pochlebstwa wędką
Sto razy na dzień się chwytasz?
By chwycić haczyk, mię głód ciężki budzi,
A ciebie tylko sama próżność łudzi.
Zdaje się, że te pstrąga uwagi dowodzą,
Że ryby nie tak głupie, za jakie uchodzą.

5go Lipca 1811.

Ciąg dalszy nastąpi

F. S. Dmochowskiego WSPOMNIENIA.

Ciąg dalszy

Z tego zdania sprawy przekonać się możemy, że Izba edukacyjna w epoce księstwa Warszawskiego położyła pierwsze zasady edukacyji w kraju naszym. Postęp czasu, dobroczynność monarchów, wypadki krajowe, zrządziły w tej organizacyji liczne ulepszenia i zmiany. Lecz nie mniejsza wdzięczność należy się od następnych pokoleń pierwszym naczelnikom publicznego oświecenia.

Ministryjum skarbu. Najcieęższym i najprzykreszej-szym w owęj epoce był urząd ministra Skarbu. Wydatki były większe od przychodów, zatamowane zostało źródło bogactwa krajowego przez zamknięcie portów morza Bałtyckiego. Trzeba było nakładać coraz to nowe i coraz to większe podatki, a nie poprzestając na tém, wybierać w naturze produktu dla utrzymania wojska nieuchronnie potrzebne; który to kontyngens liwerunkowy, wybrany został za księstwa Warszawskiego i w dwóch po nim latach 1813 i 1814. za kilkanaście lat z góry. Administracyja żywności, przy takim nawale potrzeb, nie mogła być dobrze prowadzoną i zdarzały się liczne przykłady gorszących nadużyć. Skarb nie miał kredytu i teoryja pożyczek publicznych, umarzanych po tém częściowo przez długie lata, była jeszcze w kolębce. Bez tego środka, który ciężary obecne na daleką przyszłość rozkłada, nie można było niczém zastąpić niedoboru w bieżących podatkach. Było wielu z pomiędzy szlachty, którzy tego pojąć nie mogli, iż powinni płacić podatki, i to coraz to większe, kiedy za dawnych czasów oni i ich ojcowie nic nie płacili. Woleli więc nadrabiać z różnemi urzędnikami, tracić na nich, ale nie płacić. Ta o-

koliczność spowodowała ustanowienie kar dosyć wysokich, bo przewyższających najcięższą lichwę żydowską, od podatków nieopłacanych w terminie.

Z pomiędzy działań ówczesnego ministerstwa skarbu, wymienię znaczniejsze:

Ustanowiono komisją likwidacyjną celem obciążenia i zapłacenia z czasem nadzwyczajnych ciężarów wojennych. Czynność tej komisji trwała długie lata, prawie aż do dni naszych. Jedne pretensyje odesłano do rządu francuzkiego i z tych nikt nie dostał, pretensyje za dostawy dla wojsk cesarsko-rosyjskich, austriackich i naszych krajowych zapłacono certyfikatami, które stopniowo przyjmowano w zaległych podatkach, umorzono i wykupiono.

Wyszło urządzenie wekslarzy i zakaz wywożenia z kraju srebra i złota w dniu 10go Listopada 1808 r. Otworzono mennicę warszawską w dniu 19go Czerwca 1810 r. i oznaczono stopę monety pieniężnej; zaprowadzono dyrektorów skarbu we wszystkich prefekturach; urządzono ekspedycyje towarów i wydano przepisy co do ich tranzytu i remisy. Wyszedł dekret allewicyji, czyli zawieszenia, albo darowania podatku w razie klęsk nadzwyczajnych, zwłaszcza gradobicia i pożaru. Urządzono administracyją dóbr i lasów narodowych. Ustanowiono monopolium tytuni i tabaki wskutek prawa sejmowego z roku 1811. Nie potrzebuję rozwodzić się nad tém, że każde prawo podatkowe, uchwalone na sejmie, pociągało za sobą rozporządzenie ministerstwa skarbu, dotyczące się jego wykonania.

Dwa przedmioty, godne uwagi naszej, zostawały także pod kierunkiem ministerstwa skarbu. Pożyczka 4,500,000 złp. i sumy zwane Bajońskimi.

Przed sejmem 1809 r., stósownie do postanowienia Monarchy, Rada Stanu wydała dekret, otwierający pożyczkę na zakup żywności dla wojsk francuzkich, stojących w kraju: widziano, że niepodobna dalszemi rekwizycyjami obarczać mieszkańców, a skarb nie miał na to żadnych funduszy. Na uiszczenie tej pożyczki, którą we dwa lata z procentem po sześć od sta spłacać miano, przeznaczono na sprzedaż część dóbr narodowych i miano oddać dochód z nich pod zarząd wierzycieli, na pewność procentu. Lecz obok gwarancyji skarbu, odwołano się do gorliwości obywateli, żeby ci zapisali dla tém lepszego bezpieczeństwa pożyczki, kaucyją na majątkach swoich, albo w gotowiznie wnieśli pieniądze. Takich zapisów i składek, zebrało się przeszło na trzy miliony złotych polskich.

Wtedy rząd wszedł w układy z kapitalistami warszawskimi i obcemi. Układ ten podpisali, jako pełnomocnicy wierzycieli, ksiądz Bohusz, Mikołaj Geritz i Samuel Frenkel. Gdy pożyczka ta bardzo powoli wnoszoną była, zrobiono jej repartycyą na miasta i powiaty, a tak pożyczkę dobrowolną zamieniono w przymusową, którą w największej części wybrano zbożem. W miarę takiego wybierania, wydawano obligacye. Jednakże ilość ich nie doszła do całkowitej sumy pół-pięta miliona i tylko w kurs puszczono 2,550,000. Na pokrycie tego długu, sprzedano dóbr rządowych i z dzierżawy potrącono złp. 907,500; na rzecz rządu Księstwa Poznańskiego odrachowano 655,000 złp. Resztę tego długu spłacono z mocy ukazu Najjaśniejszego Pana dnia 19/31 Sierpnia

1828 roku listami zastawnymi podług ich nominalnej wartości.

W samym zawiązku tego interesu to zasługuje na szczególną uwagę, że gdy teraz kredyt rządowy daleko silniej stoi, niżeli prywatny i obligacye rządowe mają powszechne zaufanie, to w epoce księstwa Warszawskiego obywatele ziemscy kredytem swoim, to jest kaucyją hipoteczną na dobrach, przychodzili w pomoc ówczesnemu rządowi.

Za rządu pruskiego, rozmaite kasy pruskie, banki, a nawet i prywatni kapitaliści, pożyczali pieniędzy z największą łatwością właścicielom dóbr ziemskich, w prowincyach przyłączonych do Polski. Pożyczki te wzrosły do sum bardzo znacznych. Taksy majątków zastosowano do chwilowych wysokich cen zboża bez względu na dawniejszy stan rzeczy, a nawet stosowano je do wartości ziemi w Niemczech. Ztąd wynikło, że wiele majątków obciążono długiem, wyczerpującym ich wartość. Może takie obciążenie szlachty naszej pochodziło z celów politycznych. Po ustąpieniu rządu pruskiego, sumy te pozostały przez rok bez właściciela i prawie każdy mniemał, że ani procentu, ani kapitału płacić nie potrzeba. Lecz konwencyą, zawartą w Bajonie w dniu 10go Maja 1808 roku, sumy te odstąpione zostały Francyi na poczet kontrybucyi wojennej, należącej się rządowi francuzkiemu, a Francya oddała je skarbowi księstwa Warszawskiego, jako wynagrodzenie za dostawy dla armii Napoleona uczynione. Rząd zatem zaczął upominać się o nie, jako o swoje należytość. Ale w owych latach wojennych nikt nie myślał o płaceniu procentów, a tém bardziej kapitału. Bieżące dochody i zboże szły na podatki i na furaz dla wojsk; kto miał, to dał ile tylko można było wziąć od niego; nie mający, zalegał. Kilkokrotne wezwania do obywateli, którzy byli dłużnikami sum Bajońskich, pozostały bez skutku. Daremnie czyniono ulgi i rozkłady w wypłacie kapitału i procentu, grożono sekwestracyą i sprzedażą. „Z pustego dzbanka i Salomon nie naleje.“ Sprawdziło się to przysłowie na dłużnikach sum Bajońskich. I w takim zawieszeniu dotrwały aż do epoki Królestwa polskiego. Wtedy, skutkiem kilkokrotnych układów, wróciły na własność skarbu królestwa Pruskiego. Przez lat kilkanaście rząd ten układał się z dłużnikami; kapitały najbezpieczniej i najwyżej ulokowane, zbywał ze znaczną stratą, żeby tylko subhastacyji nie potrzebował prowadzić, z której najczęściej żadnej nie miał korzyści. Resztę tych kapitałów odprzedał naszemu skarbowi, który je nabył na wyraźny rozkaz Monarchy i ich windykacyją bankowi Polskiemu porучzył. Wiele bardzo sum spadło z hypoteki, gdy sprzedano majątki za długi wyżej stojące, resztę zrealizowano, jak było można.

Już w 1812 r. ułożony został projekt spłacenia sum Bajońskich przez wypuszczenie listów zastawnych, tam gdzie ich lokacya nie wyczerpuje $\frac{3}{5}$ części ceny szacunkowej majątku. Wyznaczono w tym celu deputacyją: lecz koleje wojny 1812 r. i powrót sum Bajońskich do skarbu pruskiego projekt ten usunęły. Widać w tym pomysle pierwszy zaród instytucyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pamiętniki

księdza J. Kitowicza

do panowania

Stanisława Poniatowskiego,

z manuskryptu dotąd drukiem nieogłoszonego.

(Wydanie drugie.)

Imprimatur

Bogedain Censor.

Posen, den 3 Mai 1845.

(Ciąg dalszy.)

On zaś, czyli stosując się do wyroku Petersburskiego, udaje waryata, czyli też prawdziwie z przychyny odebranej sobie komendy zwaryowawszy, po całych nocach chodzi błędny, przenosi się ustawicznie z jednej kwatery na drugą, powiada i skarży się, iż mu wszędzie Polacy spać nie dają, że Księżę Poniatowski Prymas, gdy stał w jego pałacu, ustawicznie go budził; i tym podobne od rzeczy plecie; ale gotowa bez tych przyczyn waryacya, gdy się ustawicznie gorzałką zaléwa. Moskale zabrali z Warszawy sławną bibliotekę Załuskich, zabrali także i popędzili w kraj swój wszystkich chłopców z szpitala dzieciątka Jezus, z dziewcząt zaś co ładniejsze officerowie do usług żon swoich powybierali. Oczyścili po trosze tym sposobem z bękartów Warszawę. Cóż potem, kiedy ich sto razy więcej w Warszawie i w całym kraju zostawili. Jeżeli im braknie pretensyi do Polski, to sama ta stanie się ważną do najechania Polski.

99. O chorobach i drożynach 1795. roku.

Z przyczyny posuchy, upałów nadzwyczajnych, tu dzież popustoszenia na wielu miejscach zbóż przez rozmaite obozy, stanowiska i przechody żołnierskie, mianowicie pod Warszawą na mil kilka na około, gdzie wszystkie wsie porabowano, wiele popalono, wszystkie zaś urodzaje do szczytu zniszczono; nastąpiła drożyna wielka. Płacono żyta korzec na przednówku po Zł. pol. 30 do 40. Pszenicy, jako mniej potrzebnej, po tyleż, jęczmienia korzec po Zł. pol. 24. owsa po 20, grochu korzec po 40., tatarski po 40., prosa po 30., rzepiku po tyleż.

Choroby nastąpiły z głodu w jesieni r. 1794, bo jeszcze wtenczas ludzie, gdzie niebyły popsute urodzaje, mieli po trosze chleba. Z tych zaś miejsc, w których były popsute zboża i wioski porabowane, albo popalone, lud powynosił się tam, gdzie była osiadłość kraju i chleb; ale nastąpiły z nacisku żołnierstwa, z plejzerowanych w bataliach Moskalów, Prusaków, Polaków, a po trosze i z Cesarskich, któremi to plejzerowanymi ponapełniane były wszędzie domy publiczne i obszerniejsze prywatne, jako to: kościoły, klasztory, szpitale, pałace, folwarki i tym podobne. Z tych tedy rannych, na kupę powypychanych, opatrzenia dobrego mieć nie mogących, do tego przez chytrłość dozorców i posługaczów źle karmionych, źle w zimną jesień i tęgą zimę ogrzewanych,

chlebem i mięsem, dla chorych przeznaczoném, siebie samych tuczających, a nieszczęśliwych owych chorych, głodem morzących, umierało niezmiernie wielu. a leżąc umarli między chorującymi po kilka dni, nim się do pogrzebu bydłowego nie ludzkiego, bo bez okrycia ciała, nago za łep do wozu zawleczeni, a z wozu do dołu dostali, rozszerzyła się choroba i wzmogła. Oprócz znówu raunych po kwaterach, zdrowych zbyt było pełno, a ci z niewygód obozowych do ścisłych kwater ściśnieni, przez przyrodzone odchody zarażając powietrze, nim i swoje i mieszkańców zdrowie zarażali. A tak choroba rozciągnęła się po całej Polsce, tak w Pruskim i Moskiewskim kordonie, jako też i w tym ostatecznym kawałku Polski, który Moskalom, Prusakom i Cesarskim stał się wspólném mieszkaniem. Umierało tedy, począwszy od Listopada aż do Maja, w każdej wsi z mieszkańców krajowych co dzień po jednemu, po dwoje i po więcej, podług osiadłości aż do kilkunastu; z żołnierstwa, to samo. Skoro się plac otworzył w lazarecie po niebożczyku jednym, brano zaraz innego schorzałego z kwatery, a gdy w jednym lazarecie, czyli złożeniu chorych, wielu śmierć uprzątnęła, dowożono innych, gdzie było ciaśniej i składano pod toż samo przykrycie, na ten sam barłóg, z którego świeżego trupa zwleciono. Zwożono zaś z jednego lazaretu do drugiego o milę i dwie, nie uważając na mizerną odzież, na przykrość powietrza, na zawieruchy, kurzawy śnieżne, lub najęźsze mrozy, gdzie wielu skościących od zimna, albo wcale już umarłych, z wozu zdejmowano, dysponując ich prosto do dołu, nie do lazaretu. Widziałem sam na moje oczy, jak jeden z tak przywiezionych w pół skrępiły, w pół żywy, gdy go zdejmowano z wozu do dołu, chwycił się rękami drabiny wozowej, dając znać, że jeszcze żyje, ale niemiłosierni posługacze grobowi, oderwawszy go, wrzucili pospołu z martwymi do dołu. Niegrzebali nigdy po jednym, tylko aż się ich kilkanastu i kilkadziesiąt zebrało. Wtenczas dopiero, wygrzebawszy jamę obszerną, nawrzucałi trupów, ale je rzadko przykrywali ziemią, że psy z łatwością odgrzebywały, wydzierając trupom mięsistsze części i rozwłócząc tu i owdzie obgryzione nogi i ręce. To zaś warte zastanowienia, że dozórcy takowych szpitalów, czy lazaretów i komendantów miejscowi, mający od Króla zalecenie najtkliwszej baczości na wygody chorych i koszta wielkie, nie a nie dbali na to, że chorych więcej umierało z głodu i zimna, niż z niemocy i zarazy. Dopieroż nie ich to nie obchodziło, gdzie trup gnił, czy w ziemi, czy u psa pod ogonem. Żołnierze przeto, widząc nad sobą taką nielitość, póki mogli, trzymali się, udając zdrowych, po kwaterach, choć dobrze już byli chorobą przejęci, a tém samém drugich zarażali, obawiając się szpitala, jako przedpokoju grobowego. Między obywatelami gęstsze śmierci przerzedziły się od pół Kwietnia, między żołnierstwem trwały dłużej; przecież nie tak gęste, jak zimną. Nad spodziewanie powszechne, które było: iż się na wiosnę generalne zacznie powietrze. Rachowano w wojsku Pruskim, w Prusach południowych, a po dawnemu Wielkiej - Polskiej prowincyi zmiecionych chorobą żołnierzy do dwudziestu kilku tysięcy. W innych prowincjach, jak wiele, nie doszło mojej wiadomości, to tylko zapewne dostało mi się wiedzieć, że Prusacy, Moskale, i Cesarscy zarówno tej podlegali klęsce, na którą gene-

rał Suwarow, osobliwsze, a prawdziwe Moskiewskie wynalazł remedium; każdemu żołdatowi meldującemu się chorym, najprzód kazał dać w plecy 50 pałek; jeżeli po tym recepcie nie orzeźwiał, dopiero wzięty był do szpitala, czy lazaretu; wychodzącemu znowu z szpitala, drugie tyle wyliczono, dla doświadczenia, czyli już zupełnie zdrowym, jakim musiał się pokazać każdy, który je wytrzymał, a z nóg nie spadł. Obawiając się albowiem takiego wychodnego, żaden nie śmiał wyruszyć się ze szpitala, aż się koniecznie uczuł mocnym do wytrzymania 50 pałek. Dla tego każdy żołdat, zagarniony chorobą, póki tylko mógł, trzymał się na nogach, a walcząc tym sposobem z niemocą, często ją zwyciężał i lazaretu nie zaprzętał.

100 O Królu Polskim.

Rozumiałby kto, iż Król wywieziony z Warszawy, oderwany od najmilszych swoich Łazienek, oddzielony od swojej rodziny, której jechać za królem nie pozwolono, będzie tęsknił w Grodnie, wpadnie w melancholię, lub co gorszego, wystawując sobie w imaginacji tyle nie-szczęśliwości kraju, w których cały naród jęczy, tudzież zhańbienie swojej dostojności królewskiej, pod władzą i rozkazy Generalów Moskiewskiej poddań. Jako żywo! On jako prawdziwy filozof z sekty epikurów, nie dba o wszystko, co się dzieje z ojczyzną jego, ba i z całym światem, byle się on na nim wesoło bawił; niech tam kto chce, co chce pisze i mówi o nim.

Gdy Król przejeżdżał z Grodna do Wilna, w przejeździe do Petersburga zaproszony został od pewnego szlacheica na obiad. Przy stole dano wino węgierskie, ale król mało pił, jako do francuzkiego wina przyzwyczajony; żeby jednak pocieszyć szlacheica, rzekł: dobre W. Pan masz wino! — Znajdzie się i lepsze, Najjaśniejszy Panie, odpowiedział szlacheic. Urażony Król rzekł: to je zapewne dla godniejszego gościa zachowujesz. Przytomny Trembecki, chcąc rzecz tę załagodzić i szlacheica gładko wyprowadzić z tarapaty, dodał: tam to, zapewne przy końcu obiadu pić będziemy. Lecz gospodarz niezmiyszany rzekł: Tam to wówczas pić będziemy, gdy najjaśniejszy Pan, z pomyślnością dla kraju, szczęśliwie z Petersburga powrócisz.

Takiem tedy obdarzony przyrodzeniem, bawi się w Grodnie z kochanymi przyjaciółmi swymi Moskalami wygodnie i wesoło, wyprawia bale, koncerty, opery, komedye i inne tym podobne krotochwile, na przemianę z Książęciem Repninem, Generałem Moskiewskim, który czyniąc folę stroskanęj trzydziestoletnim rządem Jego Królewskiej Mości głowie, całą władzę prawodawczą i wykonawczą nad całą Litwą wziął na siebie. On stanowi wszelkie rozporządzenia krajowe i aby zachowane były podług przepisu i upodobania swego, ściśle i ostro dogląda. Tak jak w koronie drugi Generał Buxveder, a Stanisław August przy takich zastępcach, nie ma nic więcej do czynienia, tylko przemijającymi rozrywkami póki los w robocie gabinetów potencji postronnych będący, nie oznajmi mu, jaką na tej wielkiej całej Europie będzie miał grać rolę. Familja zaś jego na

wzgardę swoją nie mogąc potakiwać Moskalom, wyniosła się z Warszawy do Lublina pod rządy Austryackie.

101. O Madalińskim.

Zaprowadzony do Wrocławia Madaliński, w Styczniu (jako masz wyżej) siedział tam w ścisłym areszcie dwie Niedziele; a potem za instancją Bucholcowej wolnym, aż do ostatnich dni Maja, których zyskał zupełną wolność. Minister Hojm zaprosił go na obiad, przy wielu gościach Officerach i cywilnych przeczytał mu dekret Królewski uwolnienia, oddał swoją ręką szablę i suto za zdrowie jego częstował. Z owych summ wielkich, które Officyaliści skarbowi Pruscy być zabrane przez Madalińskiego udawali, pokazało się za zniesieniem i zweryfikowaniem kwitów jego, że tylko wybrał 60,000 złtp., a że miał Madaliński od Sejm Grodzińskiego Delatę na 300,000 do tych krajów, które Król Pruski zabrał; zatem pretendował jeszcze 200,000, aby mu z kasy królewskiej zapłacone były; lecz tego nie zyskał, bo stan jego niewoli i rozpuszczenie komendy, dla której całej nie dla niego samego, owe 300,000 były przeznaczone, nie sprzyjał takowej pretensji.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Polecamy następujące dzieła:

6. *Dodatek do Gramatyki Języka Polskiego* obejmujący u upelnieniu i sprostowania niektórych usterków, dostrzeżonych przez autora ks. Fr. Xaw. Malinowskiego. (Dołączone dwa listy tegoż autora we ważnych materyjach). Cena: na papierze wielkowym 450 fen., na pap. zwyczajnym 300
7. *Oświata*, pismo sześciotygodniowe, poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu. Komplet, składający się z 12. zeszytów, za fen. 600. Zeszyty 2gi do 12go, zawierające wszystko co w tym czasopiśmie tyczy się sprawy pisowni, razem za 300
8. *Widok Królestwa Polskiego* ks. Jana Bielskiego S. J. ponownie wydane przez L. R. Tom I. 100
9. *Tęgoż Tomu IIgo część I. i II.,* razem 200
10. *Świątobliwy kapłan Feliks Durewicz*. Napisał ks. Aleksander Brandowski, proboszcz z borejki 200
11. *Powiat Kościński* p. pułk. C. Jera 200
12. *Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta IIIgo, przez księdza Hugona Kołłątaja*, wydany z rękopisu przez Edwarda Ręczyńskiego 150
13. *Kolébka, Dom i Grób Jana Kochanowskiego*, czyli Sycyna, Czar i las, Zwolen jak dziś przedstawiają widok? napisał Dr. Jan Rymarkiewicz, Profesor 150
14. *Platona Theaetelos*, przekład z greckiego Antonii Broutkowskiego 150
15. *W co wierzyć dzisiaj? Kilka rozpraw dotyczących zagadnień wieku. — Prawo Historji. — O Naukach Filozoficznych* O. Lakordera. 150
16. *Rozbiór Krytyczny Pieśni „Bogarodzica“*. Napisał Dr. Antoni Lwów, nakładem Spasowicza 1880. Przejrzał dr. Rymarkiewicz. — *Uwagi nad Rozbiorem Krytycznym Pieśni „Bogarodzica“*, napisanym przez dra A. Kalinę, a przejrzanym przez dra Jana Rymarkiewicza. Napisał pr. Antoni Kalina
17. *Parafia borecka* podczas napadu szwedzkiego od roku 1655 — 1657. Napisał ks. Aleksander Brandowski, Proboszcz tejże parafii. 151
18. *Goście Krakowscy i Kilka uwag nad Jubileuszem Kraszewskiego* 150